

Eugeniusz Kabatc

POGODA BURZY NAD PALERMO

Z listami
Jarosława Iwaszkiewicza
do autora

Opracowanie listów i przypisy
Radosław Romaniuk

Wprowadzenie

Coraz rozleglej otwierające się pole zainteresowań osobą, działaniem i twórczością Jarosława Iwaszkiewicza obejmuje już kolejne pokolenia badaczy i czytelników, zadziwiając intensywnością rozważań, rozmachem interpretacyjnym i głębią nieodzownej zadumy. Bogactwo twórczości tego pisarza to bogactwo polskiej kultury, zyskującej prócz mądrego, pisanego słowa także jego obywatelskie zaangażowanie. Pozostając wierny duchowi kresów wschodnich, pisarz nie zamykał okien ojczyzny przed europejskim przeciugiem, wyruszał coraz częściej na Zachód, na dyplomatyczne dwory, ale i na wędrowki po nurtach europejskiej muzyki, po barwach żywego pejzażu i malarskiej sztuki. Przewodnicząc przez wiele lat Związkowi Literatów Polskich i Stowarzyszeniu Kultury Europejskiej, Polskę utrwał w Europie, a Europę w Polsce – także wbrew żelaznej kurtynie – znajdując zawsze sposób na podkreślenie i wykorzystanie wspólnoty naszego kontynentu od bizantyjskiego Kijowa po łaciński Rzym.

Pogoda burzy nad Palermo to opowieść o pożegnalnej, ostatniej wyprawie pisarza na Sycylię. Miałem zaszczyt wziąć w niej udział. Nie jest jednak reportażem, gdy wraz z narracją o faktach staje się dokumentem uniesień i wyobrażeń. Sprawa, jej strukturalne składniki – osoby, ich losy, wartość przyrody i sztuki, wydarzenia

historyczne i bieżące – należą do rzeczywistości sprawdzalnej, wokół której wszystko inne potrafi być splotem tyleż dramatycznym, co literackim. Ale i te obrazy i myśli nie biorą się znikąd, są lub pozostają u dalekich rosyjsko-ukraińskich źródeł, do których sycylijskość Iwaszkiewicza powraca wiernie niczym na pięciolinii wieloczasu do muzyki Szymanowskiego: do *Króla Rogera*, *Źródła Aretuzy*, ale i do swojej *Sławy i chwały* z wątkiem europejskim.

Buńczuczna współczesność wdziera się z pomysłami ujęć filmowych, co uzupełnia czas nieodnaleziony, ale nie jest w stanie stworzyć osobnego obrazu opowieści. Wątki pozostały nazbyt powikłane, zbiegały się z różnych epok, wpadały na siebie, nie rozumiejąc się, jakby były z różnych światów. Ostatnia sycylijska podróż patriarchy, choć przeżyta wreszcie triumfalnie, pozostała poza dramatem wyspy i była już tylko kurtyną zapadającą po raz ostatni po spektaklu pełnego tajemnic życia.

Piszę to dziś, po latach, z uczuciem pewnego zadziwienia, jakbym – będąc już w wieku starego Pisarza z tamtych dalekich czasów – wiedział o Nim więcej, ale czegoś wciąż do końca nie rozumiał. Tedy tę nową wersję opowieści poszerzam o niektóre sceny filmowe, skomponowane przy zainteresowaniu sycylijskim losem Pisarza ze strony panów Jerzego Kawalerowicza i Andrzeja Wajdy, i uzupełniam listami do mnie Jarosława Iwaszkiewicza z lat naszej kresowej i włoskiej przyjaźni.

Eugeniusz Kabatc

Rozdział I

Na kilka miesięcy przed śmiercią stary pisarz postanowił odbyć swoją ostatnią podróż na Sycylię.

Okoliczności sprzyjały takiej decyzji, wręcz zachęcały do wyprawy, z dalekiej bowiem wyspy nadeszła wieść, że ambitne jury pewnej młodej literackiej nagrody podjęło jednomyślną uchwałę o wyróżnieniu „patriarchy piśmiennictwa polskiego” nagrodą specjalną, dodając do rutynowych uroczystości, jakie z okazji wręczenia trofeów się urządzało, nadzwyczajne, jemu tylko poświęcone. Pomyślał, że już nigdy więcej nie otworzy się przed nim taka szansa: powrotu na wyspę w aureoli zwycięzcy. Tyle razy wędrował po tamtej suchej ziemi, przemierzając ją wzdłuż i wszerz, krył się w cieniu nagrzaných kamieni Wielkiej Grecji, zadzierał głowę ku bizantyjskim mozaikom ze snów swojego dzieciństwa, krążył po stromych uliczkach miast i miasteczek, bratając się z psami, osłami, świetlikami i nieraz oczekując na coś największego – nikt nie dojdzie już, czy nie na coś ostatecznego – nadśluchiwał pomruków drzemiącego wulkanu... Tyle razy, powiadam, przez ponad pół wieku, pijał tu mocne wina wytrawne i słodką marsalę, by teraz – Boże drogi i wszyscy jego szatani! – by teraz, mówię, stanąć w świetle jupiterów o suchym pysku lub z wodą pryskającą szyder-

czo mineralnymi bąbelkami?! Tak, była tu niedogodność wielka, jego duże ciało ugięło się pod ciężarem osiemdziesięciu pięciu lat, a dusza płakała, gdyż w domu pozostawiał groźnie chorą żonę, towarzyszkę nad podziw wierną w jego długim życiu wędrującego Bizantyjczyka.

Pomyślał, że niewiele jej pomoże, zamykając się z nią cmentarnie w starym domu, przebywała już poza świadomością, gdzieś u progu lepszego życia, obcując zapewne z wieczną młodością duchów i zjaw, sama młoda i piękna, jak wtedy, gdy *tańczyli na chłopskich weselach / i na królewskich pokojach, gdy widzieli ocean w Skagen / i Barcelonę / i Matterhorn i Dent du Midi, gdy mieli przyjaciół / gadali z Lechoniem / z Witkacym, z Sartre'em...*

Żono! nie odchodź / zostań chwilę ze mną¹.

Gdy była z nim, był najbardziej sam; wioził ją ze sobą, w sobie ciężką w tej chorobie, wciąż widział, jak odchodziła, patrzył z ganku, jak się oddala w stronę szosy, twarz mu drętwiała, gdy samochód z gośćmi przetaczał się koło niej po twardej grudzie, a ona – sucha myszka polna w ogrodzie – szła przed siebie brzydko zafrasowana, klóćąc się z sobą bezgłośnie, *szukając ciągle / pogubionych książek / chustek / zapalek / okularów...*

Pogoda domu niechaj będzie z tobą powiedział, choć pokoje były już ciemne, jesień z ogrodu zaglądała przez okna i wcześniej zmierzch zapadał. Czerniały zakurzone meble, schody, lichtarze, stare drewno podłóg, poręczy, ścian rozsychało się z trzaskiem,

¹ Wszystko, co w tekście zapisane zostało kursywą, pochodzi z prozy, poezji i listów Jarosława Iwaszkiewicza.

mgła zamazywała widok z kolaski czasu i tylko wieczorami lśniły po kątach oczy podnieconej pamięci. Długo nie mógł zasnąć, dłużej niż psy w jego łóżku, którym się śniło, że czuwają nad snem starego poety piszącego we śnie wiersze o psach, o tych wszystkich psach i suciach w Taorminie-Ukrainie, o tych czyścioszkach panienkach i śmierdzących kundlach, w jakie Pan Bóg zamieniał często dusze przyjaciół i wrogów.

Na Ukrainę dwa lata wcześniej nie chciał jechać. Niejeden raz bywał w tamtych dalekich rodzinnych stronach i wiedział, że nie ma tam już nikogo, ani w Kalniku, ani w Elizawetgradzie, ani w Kijowie – i nic oprócz umierania własnej pamięci nie czeka go na Podolu... Zamknął oczy. Ale sen nie nadchodził. Wiatr. Otworzył jedno oko i zobaczył, jak „piękność nocy” rozchyła swój kiełich, a z pokoju matki ktoś patrzy na bzy w ogrodzie, rozdzierane szalejącym powietrzem. I znowu mrok i jęki chorej. Jakże ciężko oddychać, ileż waży to bezwładne ciało, co serce do ziemi przyciska i dławi, miażdży, rozdeptuje... Wtedy, po tamtej wietrznej nocy, wstał naburmuszony i zły. Pęcherz miał do niczego, poszedł się wysikać, umył się byle jak, włożył brudną, wygniecioną koszulę i pozostał w niej już przez cały dzień. Fuknąwszy na psy, powłócząc nogami, poczłapał do swego gabinetu, zwałił się na fotel za biurkiem i nim spojrział w okno z wiosennym słońcem, napisał: *Może byście jednak pomyśleli o moim wieku i moim zmęczeniu. Raz w życiu powiedzieli: nie fatyguj się, nie jedź na Ukrainę, po co? Nie pisz, dosyć się już napisałeś. Niech inni o tobie piszą. Ale nie... Litości nade mną nie macie* – zielonym atramentem, wyraźnie, akuratnie,

wstawiając datę – 9 marca 1977 – podpisując pełnym imieniem i nazwiskiem... Każdy człowiek ma dwa światy lub więcej, daje się im unosić, obmywać jak falom o różnej długości. Na Ukrainę jednak jeszcze raz pojechał. Dał się unieść swojej sławie i chwale, i ludziom czytającym go po polsku, po rosyjsku, po ukraińsku. W Kijowie Dymitr Pawlyczko krzyknie do tłumu młodzieży zapatrzonej w przygarbioną na podium sylwetkę starego poety: „Wy go nie czcijcie, wy go czytajcie!”. Jemu już było wszystko jedno, po raz ostatni pojechał na spotkanie z cieniami, smużkami – pajęczyną obecności swoich bliskich i dalekich w białych wiśniowych sadach. Wiedział, że *nie ma już ani domu, ani berceau, ani ogrodu, nie ma kwiatów bzu ani dzikiego wina, nie ma dokładnie nic*, lecz kiedy patrzy w to nic, zawsze widzi w nim matkę, babcię Czekijską i Stasię Szymanowską, co opowiada śmieszne kawałki o szkole... I widzi jeszcze kogoś z Szymanowskich, ale już trochę później, w innym miejscu, gdzie biją dzwony cerkwi, wpadają na klawisze pianina i wyczyniają takie rzeczy, od których idzie dreszcz po ciele, dzikie podniecenie, co kuzyn Karol – w pół słowa przerwawszy opowieść o źródle Aretuzy – nazwie sycylijską gorączką. Teraz to już miał za sobą; dawno miał już za sobą tę pierwszą podróż na bizantyjską Sycylię, przez stepy i „bałki”, w czerwcową noc, ten lot spod ruskich ikon Kijowa ku palermitańskim mozaikom w Capella Palatina, gdy we wspaniałym uniesieniu, w przeczuciu wielkiego odkrycia, spał młodzieńczą wszechmożnością cudu obce sobie połowy Europy... A Polska? Polski jeszcze nie było, powstawała dopiero, gdzieś tam poza Podolem, z gruzów wrogich

państwowości, z historii i krwi – i w nim się tak rodziła, w chudzielcu dwudziestoletnim, nie wspomnieniem szkolnym o szarej Warszawie, lecz ojcem z powstania, językiem, kulturą w obyczaju kresowym, gdzie nawet kościół był tylko drzewem w ogrodzie, zapachem ślubnej sukienki, pasterką o północy w śniegu. Opisał to był wielokrotnie, ten skok nad Polską, która później zbiegnie mu się w ramionach łacińsko-bizantyjskiej matki, w ziemi, w zieleni nowych ogrodów, w snach – ale wtedy jeszcze rozgrzewała się do życia w ciotkach, kuzynkach, w Nulach i Stasiach, w koncertach, etiudach, sonatach, z włoską tęsknotą i ukraińską kantyleną.

I już do końca pozostał człowiekiem pogranicza. A gadajcie, gadajcież sobie, że tyle czasu straciłem na opisywanie Petersburga, Kijowa, Syrakuz, a lejcie, lejcież swoje ślony nad trwonieniem sił w peregrynacjach po Europie i świecie. Jakbym nie wracał potem nad Wisłę i do Sandomierza, nie ruszał w Polskę, kąpiąc się w niej, splukując kurze, obmywając rany, tu, gdzie zeszło się wszystko, co w Europie jest najlepszego, uniwersytety i teatry, malowidła w kościołach i obrazy w cerkwiach, i pieśni, pieśni ze słów już naszych składane, na weselach i w powstaniach śpiewane, po wsiach, gdzie nadal było gorzko, zupełnie jak w mieście, no właśnie, jak to w Polsce... A dlaczegoż to nie uciekać z niej, od niej, tak pełnej Polaków?

Pewnie, nie zawsze w ucieczkach było to szwendanie się po Europie. Między tamtą wymyśloną „ukraińską” a tą, jaką teraz przedsiębrał, słowem, między jego pierwszą a ostatnią podróżą na Sycylię upłynęło sześćdziesiąt lat, toteż zmieściło się w nich

kilkanaście innych wypraw na wyspę, a kilkadziesiąt na półwysp z Alpami i Apeninami. Bizantyjska ciekawość świata, rodem z kontynentu tamtych rozbełtanych kultur – niby to rozdzielenych trochę Bosforem, trochę łaciną i greką, a nieco też starosłowiańszczyzną od Zachodu – jak paradoks losu wyznaczonego człowiekowi pogranicza, a pewnie i całym ludom tych limitroficznych ziem, pcha nas w gąszczu podejrzeń o brzydkie renegactwo, o sui generis zdradę, a na pewno już wikła i myli tropy posądzeniem o kontrabandę. Co pan ma do oclenia? – pyta urzędnik i przenika starego człowieka spojrzeniem księdza w konfesjonale, kogoś, kto, choć prostolinijny, zna ułomności ludzkie, pomaga nam wyznaczyć nasze grzechy, którychśmy przecie pełni, och tak, on to rozumie, on nic nie mówi, on tylko słucha. Stary człowiek nie chce skorzystać z przejścia dla VIP-ów, on, wokół którego ślizgają się na ślinie własnych pochlebstw najwyżsi w hierarchii państwa, który dobrze zna wygodne przejścia wśród służbowych entuzjastów i lże-władców, jest głęboko przekonany – niech będzie, jest naiwnie przekonany – że dla potwierdzenia sobie swoich świętych prawd trzeba zwątpić w narodowe gniazdo i przemycić przez granicę te wątpliwości i rozchwierutania, bez których wszystko jest tak proste, że aż prostackie. Owszem, celnik jest inteligentny, akurat to właśnie rozumie, jak trzeba, wybacza. Ale jak zakwalifikować fakt, że ten dziwny przemytnik dźwiga na sobie nie tylko to, co chce dźwigać, lecz i to, czym został obarczony ponad miarę przez współzycie z sąsiadami lub przez rozdarcie w rodzinie, tym rodzajem tygła, w którym wciąż się gotują różne narodowe ingredencje

(języki, obyczaje, sztuki), a wygotowawszy się dobrze, przyniosą nową, dotychczas nieznaną, lecz pewnie wielce pożywną i znakomitą strawę? Zapowiadają odlot samolotu do Rzymu. Stary człowiek cierpliwie wyjaśnia: to splot rozmaitych korzeni, wrośniętych w glinę, w piasek, w granit, nikt ich nie zdoła wydrzeć do końca, to zwyczajne, tylko że drzewo może wyrosnąć z nich niezwykajne. Czasami piękne nad podziw. Można tę rzecz niezwykłą a zwyczajną opisywać na tysiąc sposobów, ale niech się nie trzodzi, niech to będzie odprawa warunkowa, wystarczy pamiętać, że wbrew niektórym przepisom, podszeptom, zawiściom-nienawiściom w tych kulturach, rozdzielanych sztucznymi granicami państw albo rozdzieranych strasznymi granicami bloków, tak naprawdę nie ma nigdy zdrady ani ostatecznych wyborów... Dziś niech wolno będzie powiedzieć więcej, dziś niech wolno będzie wyznać tę prawdę o dziś: będziemy wracać do ziemi ojczystej, a zakielkują w tym ziarna powrotu do ziemi wspólnej, naszej, człowieczej, co silniej łączy, niż dzieli – choćby wszystko wokół sprzegło się w diabelskim sojuszu przeciwko temu – szczyptę tolerancji, proszę... Celnik uśmiechnął się: może to nieprawda, ale w sumie etyczne, zgodne z sumieniem. Teraz był ładnym młodym człowiekiem z portu lotniczego na Okęciu, jednego z aeroportów, czyli z tych miejsc, które właśnie łączą. Stary pisarz odetchnął z ulgą, przejął z ust młodego celnika odrobinę słońca i powlókł się do wyjścia na płytę. Samoloty hałasowały okropnie, więc głowy nie dam, czy mówił tak, czy tylko nam się tak zdawało: patrzmy uważnie, nie wierzymy pojedynczym przypadkom szowinizmu, spójrzmy na moje

kresy, zobaczymy, ile z nas w nich, ile z nich w nas, ile tego dobra stamtąd w Polsce – aż po Sandomierz.

Nim wyszedł z domu, przysiadł na chwilę, jak to robili jego ojciec i moja matka przed każdą podróżą. Trzeba nasycić naszą obecnością opuszczane miejsca, nie mogą być martwe, gdy nas nie będzie. Patrzyły na niego zatroskane oczy Szymona, a on słyszał jeszcze żalobną muzykę po siostrze i ciche pomrukiwanie żony ze schodów, znad schodów, nie śmiał podnieść głowy, oparłszy ją o gałkę laski, przed podróżą się nie płacze, odjeżdżać to jakby w połowie powracać, pogoda naszego domu niechaj będzie z Tobą, pogoda myśli, które grzeją się już w słońcu za górami, za morzami, pogoda tchórzliwego serca... Głośniejsz zawarczał samochód przed gankiem, psy skoczyły do drzwi... Słońce już wstało, sypało iskrami rosy z drzew przedjesiennych, rozkrzywane ptactwo zagłuszyło uroczyste tony pożegnania, zapach wilgotnej ziemi uderzył w nozdrza. To Pan Bóg przykładał mu do czoła pieczęć pogody życia, a on się macał po głowie, jakby szukając czapki z piór. Byle się nie odwrócić, byle wytrwać w tym locie do przodu, choćby to był lot po obniżającej się spirali, lot starego orła ku ziemi, ku znanym krajobrazom, po ostatnią zdobycz.

To nie była ostatnia zdobycz starego orła, ale nie mógł wtedy wiedzieć, że ktoś szybciej pokręcił kołem fortuny i za kilka miesięcy polecą raz jeszcze na południe, choć tym razem nieco bliżej, do Bułgarów. Jakże późno przypomnieli sobie, że winni są mu hołd, ale to tylko nam się wydaje, że on, wielki Europejczyk, wielki Bizantyjczyk, musi na Bałkanach czuć się jak u siebie w domu.